

NO MA DZI

DŁUGA PODRÓŻ DO DOMU

IZA KLEMENTOWSKA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Iza Klementowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Kanadyjska pisarka Dionne Brand zauważyła kiedyś, że dom sugeruje porządek i powtarzalność, tradycję i rodzinę. Ten porządek, choć budzi fascynację, bywa dla niektórych duszący – jakby ktoś oznajmił, że nic już więcej się nie wydarzy i niczego nowego nie będzie nam dane poznać.

Miał na sobie garnitur, odrobinę za duży. Szeroki biały kołnierz koszuli pochłaniał szyję tak, że zdawało się, jakby zupełnie jej nie było. Rękawy sięgały połowy dłoni. Spodnie opadały na bosc stopy. Próbował wcześniej włożyć buty, ale sztywność skóry uwierała za bardzo. Palce były zbyt przyzwyczajone do wolności. Cała sylwetka, nieruchoma i zastygła w garniturze, zdradzała, że człowiek w nim zamknięty nie czuje się sobą. W jego oczach, utkwionych w obiektywie, widać wyraźnie jedno: to nie jego miejsce ani ubranie.

Nie jego czas. Nie jego dom.

Ishi schwytany w Oroville w północnej Kalifornii 29 sierpnia 1911 roku miał na sobie jedynie długą, podartą koszulę. Bosc stopy otulone ceglany m pustynnym pyłem wyglądały na zakrwawione. Psy właściciela zagrody, pod którą się znalazł, ujadły tak donośnie, że Ishi kulił się w sobie, jakby chciał zakryć uszy barkami. Kurczył również palce stóp.

Dwie godziny nieustającego szczekania wprawiły ciało w mocne drżenie. Stał w jednym miejscu. Bał się ruszyć, w oczach miał przerażenie. Milczał. Właściciele zagrody odwołali psy dopiero, kiedy przyjechał szeryf z pomocnikami. Dwaj mężczyźni chwycili Ishiego za ramiona. Zastygli w konsternacji – był tak wychudzony, że ich palce oploty jego ręce, a mimo

to wciąż została między nimi przestrzeń. To głód wygonił go z gór prosto pod zagrodę rzeźnika w Oroville. Bez słowa wszedł do powozu szeryfa. Bez oporu dał się zamknąć w areszcie. Nie miał już wyboru. Nie miał też nic do stracenia, prócz własnego życia.

W celi były tylko prycza i małe okno w jednej ze ścian. Odgradzony od reszty posterunku kratą od podłogi do sufitu, obserwował nerwowo krzątanie się szeryfa, który nie wiedział, jak poradzić sobie w tej sytuacji. Próbował z nim porozmawiać, ale Ishi nic nie rozumiał. Szeryf sprowadził więc lingwistę z San Francisco, znającego wiele języków rdzennych społeczności. Profesor przyjechał tego samego dnia, jednak Ishi nie mówił w żadnym ze znanych mu języków. Naukowiec pojął, że ma do czynienia z osobą ze społeczności, która już nie istnieje. Ze społeczności, która prawdopodobnie wyginęła. Społeczności, którą wybito. Społeczności, którą można pokazać w muzeum.

Kilka dni później zamknięto go w Museum of Anthropology of the University of California w San Francisco – i w garniturze, który nijak na niego ani do niego nie pasował. Dostał łóżko, stolik, krzesło, szafę i lustro. Miska oraz dzbanek z wodą stały tuż pod nim.

Nowy dom. I ostatni.

Starą fotografię przedstawiającą Ishiego zobaczyłam w nowojorskim National Museum of American Indian. Jego sylwetka zamknięta w garniturze i koszuli zapiętej po samą grdykę sprawiła, że poczułam znany ucisk lęku, odzywiający się zawsze wtedy, gdy ktoś wypowiada słowo „dom”.

Samolot wylądował w Nowym Jorku późnym wieczorem. Szybko przeszłam przez kontrolę imigracyjną. Kobieta w okienku zapytała tylko, ile mam przy sobie pieniędzy, i kie-

dy powiedziałam jej, że dysponuję jedynie kartą, zaśmiała się, przybiła pieczętkę i machnęła, bym szła dalej.

Trochę obawiałam się tej kontroli. Rok wcześniej na lotnisku w San Francisco funkcjonariuszka długo odpytywała mnie przy okienku, by w końcu zaprowadzić do tak zwanego pokoju przesłuchań. Mężczyzna, który mnie przejął, siedział z szeroko rozstawionymi nogami, trzymał dłoń na kaburze pistoletu i przez godzinę zadawał wciąż te same pytania: na jak długo przyleciałam do USA? Dlaczego tak często tu jestem? Co robię zawodowo? Czy da się utrzymać z pisania (bo on zna takich jak ja)? Dlaczego nie jestem mężatką? A może powinnam się zastanowić nad priorytetami żywioowymi? Czemu nie mam dzieci? Może moje życie poszło nie tak, jak powinno? Gdzie jest mój dom? Czy w ogóle go posiadam? A może szukam w Stanach domu dla siebie? Ostatnie pytanie dźwięczało mi w głowie jeszcze długo po tym, jak w końcu – po dwóch godzinach – mnie wypuścił. Zanim to zrobił, zaprowadził mnie do jeszcze mniejszego pokoju.

– Masz tu usiąść. Jeśli się poruszysz, przykuję cię do rurki – powiedział i wskazał na metalową ławkę przedzieloną pośrodku zimną blaszaną rurą.

Otworzył moją walizkę i przerzucał wszystko, co się w niej znajdowało. Zatrzymał się przy paście do zębów, ponieważ zawierała wyciąg z konopi indyjskich, a na opakowaniu był rysunek liścia marihuany. Chociaż napis po angielsku brzmiał *tooth paste*, spytał mnie, co to jest. Sięgnął też po mój notes, czytał wszystkie zapisane kartki. Na koniec kazał mi się spakować. I wypuścił.

Pomyślałam wtedy o tych wszystkich osobach, które w XIX i XX wieku przypłynęły do Nowego Świata w poszukiwaniu

dostatniejszego i bezpieczniejszego domu – i utknęły na Ellis Island w ośrodku imigracyjnym na kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy. I choć marzyły o wolności, nie wiedziały, czy zostaną wpuszczeni do Nowego Jorku. Mnie trzymano jedynie dwie godziny.

Jechałam przez Nowy Jork metrem, a gdy w pewnym momencie wynurzyło się z podziemi, zobaczyłam rozświetlone budynki przypominające pudełka czekoladek. Ciemne okna wyglądały jak puste miejsca po słodyczach. W tych rozświetlonych można było czasem ujrzeć ludzi.

Dom.

Wróciło do mnie pytanie funkcjonariusza, czy to w USA chcę znaleźć dom dla siebie. Olga Tokarczuk pisała o biegunach – ludziach, których wiecznie coś gna, którzy nie umieją lub nie chcą zakorzenieć się na stałe. Ciągłe zmieniają miejsce. Odkąd pamiętam, nie potrafiłam mieszkać w jednym miejscu dłużej niż kilka lat. A gdy pomieszkałam gdzieś dwa, trzy miesiące, musiałam dokądś jechać, ruszać dalej. Inaczej moje ciało zaczynało szwankować, któraś jego część odmawiała posłuszeństwa i dopiero podróż przywracała ją do porządku, do „bez-bólu”. Wewnętrzne rozedrganie odbierało mi spokój, który zwykle odnajdywałam w ruchu i drodze, a nie w bezruchu i utknięciu w jednym miejscu.

Komfort i bezpieczeństwo nie wiązały się u mnie z oswojonym miejscem, kokonem mieszkania – czy to wynajmowane, czy też własnego – ze znajomymi sprzętami, ulubionymi kubkami ani kwiatami w doniczkach.

W pewnym momencie zaczęłam nawet myśleć, że coś ze mną jest nie tak – że mam jakiś defekt, który nie pozwala mi osiąść w żadnym miejscu. Spotkana przed prawie dziesięciu

laty w mozambijskiej dżungli *curandeira*, uzdrowicielka, powiedziała, że mam wyrwany korzeń, że jestem bezkorzennym drzewem i że to moje przekleństwo i błogosławieństwo jednocześnie. Wtedy przeczytałam *Biegunów* i trochę odetchnęłam. Poczułam, że nie jestem w tym sama. Nie musiałam mieć domu. Tylko czy to prawda? Czy człowiek rzeczywiście go nie potrzebuje?

Patrzyłam teraz na wieżowce Nowego Jorku, na światła w oknach, i zastanawiałam się, dlaczego ludzie decydują się wydawać setki tysięcy dolarów na mieszkanie. Co sprawia, że nazywamy dom domem? Czemu tak bardzo go potrzebujemy? Zawsze miałam wewnętrzne przeświadczenie, że istnieję jedynie na chwilę. Odczucie tymczasowości wygrywało z potrzebą posiadania mieszkania, a każda myśl o kredycie hipotecznym ścisnęła mi gardło jak kołnierzyk koszuli Ishiemu – i nie mogłam oddychać. Skąd się brało to poczucie tymczasowości? Dlaczego nie umiem się zakorzenić? Gdzie jest moje miejsce, mój dom? W jaki sposób inni go znajdują? Co sprawia, że chcą się zatrzymać?

Zawstydzają mnie te pytania, szczególnie gdy rozmawiałam z uchodźcami, dla których przymus opuszczenia nie tylko domu, ale też kraju wiązał się z głębokim bólem oraz traumą. A ja mogłam mieć dom, gdziekolwiek chciałam, a jednak nie potrafiłam osiąść w jednym miejscu. Jeszcze w autobusie przy terminalu lotniczym usiadłam naprzeciw mężczyzny z synkiem, który trzymał w ręku balonik z napisem *Welcome Home*. Trochę im zazdrościłam, że mogą jakieś miejsce nazwać swoim domem.

Manhattan świecił tak jasno, jakby to był dzień. Lenapowie, społeczność, która zamieszkiwała te tereny od pradawnych

czasów, jeszcze nim pojawili się tu Europejczycy, określali wyspę jako „miejsce, gdzie rodzi się słońce”. Menatay oraz Manahata, wyspa wzgórz, skalista, wznosząca się nieznacznie na północ, nie była urodzajną ziemią, dlatego Lenapowie skupiali się na rybołówstwie i wyplataniu koszy oraz innych przedmiotów z witek. Mimo ograniczonych możliwości żyli tu i nie mieli ochoty tego miejsca opuszczać. Było dla nich święte – zwłaszcza teren, na którym teraz znajduje się Central Park, oraz okolice Wall Street. Europejczycy nadali im nazwę Delaware, po pierwszym kolonialnym gubernatorze De La Warr. Natomiast Lenapowie sami określali się również jako Wapanachki, Naród Czystej Krwi.

Krew setek z nich jest teraz stałym elementem Manhattanu.

25 lutego 1643 roku około stu dwudziestu kobiet, dzieci i mężczyzn ze społeczności Munsee oraz Wappingerów nie obudziło się ze snu. Szukający schronienia przed wrogimi plemionami Mohawków na Manhattanie, skryli się w okolicach dzisiejszego Lower East Side oraz na zachodnim brzegu rzeki Hudson naprzeciw wyspy.

Żołnierze i biali osadnicy tworzący Nową Holandię postanowili pozbyć się problemu, jakim byli dla nich rdzenni mieszkańcy tych ziem.

Isaac de Rasier, sekretarz kolonii holenderskiej Nowego Amsterdamu (okolice dzisiejszego Nowego Jorku), określał rdzennych mieszkańców jako gorszych kulturowo i moralnie, „okrutnych z natury”. Wierzył, że atak na ich wioski jest najlepszym sposobem na opanowanie „dziczy” w tym rejonie. Willem Kieft, gubernator Nowej Holandii, uznał, że Bóg zesłał ich tak wielu w jedno miejsce właśnie po to, by Holendrzy ostatecznie rozwiązali „dziki” problem. Kieft słynął z brutalności.

Według przekazów rozkazał swoim żołnierzom zebrać odcięte głowy ofiar i używać ich jako piłek do gry.

Wieść o masakrze szybko dotarła do Munsee, którzy przez kolejne dwa lata mścili się, zabijając białych osadników.

Mniej więcej w tym samym czasie, w marcu 1644 roku, Kieft zlecił wymordowanie ponad sześciuset członków plemienia Wappinegerów, żyjących na terenach dzisiejszego Pound Ridge, miasteczka położonego na północ od Nowego Jorku. Wcześniej próbował nałożyć na nich podatek od skór zwierząt i kukurydzy oraz innych plonów. Wappingerowie nie widzieli powodu, dla którego mieliby oddawać owoce swojej pracy pochodzące z ich własnej ziemi. Odmówili. Żołnierze przyszli nocą i podłożyli ogień. Tych, którzy się nie spalili, dobijali.

Wioska, w której mieszkali Wappingerowie, nazywała się Nanichiestawack – Bezpieczne Miejsce. John Underhill, jeden z holenderskich dowódców, powiedział podobno: „Najbardziej zdumiewające było to, że wśród tej ogromnej grupy mężczyzn, kobiet i dzieci nie słychać było ani jednego, który płakałby lub krzyczał”.

Krótko po masakrze ośmioro ocalałych poprosiło Willem Kiefta o pokój. Ostateczne porozumienie między wszystkimi społecznościami żyjącymi na tym terenie – Sachemami, Wecquaesgeekami, Wappingerami, Lenapami, Munsee oraz Nochpeem – a Nową Holandią podpisano 31 sierpnia 1645 roku.

W 1682 roku Lenapowie odsprzedali Williamowi Pennowi, kwakrowi z Anglii, kawałek ziemi nad Atlantykiem. Wciąż mając w pamięci masakry w Pound Ridge i na Manhattanie, nieustannie spychani przez białych, musieli przesunąć się coraz głębiej na zachód.

Traktat wędrujący (Walking Purchase Treaty) z 1737 roku, podpisany przez wodza Lappawinzego, przypieczętował ich los – oddali białym tyle ziemi, ile człowiek był w stanie przejść w ciągu półtora dnia. Europejczycy wynajęli biegaczy, którzy pokonywali dystans znacznie szybciej. Lenapowie poczuli się oszukani. W ciągu stulecia kolejne starcia z kolonizatorami zmuszały ich do wycofywania się najpierw w okolice doliny rzeki Ohio, a później aż nad Missisipi. Niedługo potem wpakowano ich wszystkich do rezerwatów.

W Nowym Jorku poszłam do National Museum of American Indian. Przy wejściu na główną wystawę przywitał mnie napis *What makes a place home?* Co sprawia, że dane miejsce uznajemy za dom? A potem ujrzałam zdjęcie Ishiego, przymusowego mieszkańca muzeum Uniwersytetu w San Francisco, jedyne ocalałego ze społeczności Yana. Jego ciasny kołnierzyk ścisnął też moje gardło.

Niedaleko muzeum, w parku Battery, prowadzącym do przystani dla promów płynących między innymi na Ellis Island, stoi Pomnik Imigrantów. Wysoki na blisko trzy metry, wykonany z ciemnego i twardego materiału przypominającego żeliwo – przedstawia ciasno skupioną grupę postaci. Na przedzie kobieta z dzieckiem na ręku, obok mężczyzna klęczy w żebraczym geście. Kolejny z rękami złożonymi do modlitwy. Ktoś inny zakrywa twarz dłońmi. Żadnego bagażu. I napis: „Imigranci. Poświęcony ludziom wszystkich narodów, którzy przybyli do Ameryki przez Castle Garden”. Słowo „imigranci” zamazane jest czerwoną farbą. Obok rzeźby dostrzegłam porzucony, nieco podarty czarny foliowy worek. Dwie ławki dalej siedzieli kobieta w czapce naciągniętej na głowę mimo upału i śniady mężczyzna w puchowej kurtce. Każde z nich

obejmowało podobny worek. W milczeniu patrzyli przed siebie.

Parę miesięcy później w jednym z nowojorskich muzeów sztuki nowoczesnej zamieszkała artystka Jade Kuriki-Olivo. Z własnej woli na cztery miesiące zamknęła się w przeszklonym pokoju, w którym znajdowały się jedynie łóżko, biurko i wieszak na ubrania. Kamera umieszczona w rogu sufitu śledziła każdy jej ruch.

Po kilku miesiącach miała stwierdzić, że eksperyment był jednak trochę „ponad jej siły”.

George stoi w oknie i patrzy na miasto. Jego kawalerka mieści się na dwunastym piętrze trzydziestokondygnacyjnego budynku, który należał kiedyś do Świadków Jehowy. Niedaleko stąd do Mostu Brooklyńskiego, a z najwyższych pięter roztacza się widok na rozświetlony nocą Manhattan. Dzielnicę Dumbo oddziela od niego rzeka East River, w pobliżu znajdują się Brooklyn Heights, zamieszkane przez bogatych nowojorczyków, oraz park.

Budynek przy Sand Street był niegdyś kompleksem hotelowym z pięciuset pokojami. W 2022 roku przekształcono go w małe mieszkania dla osób w kryzysie bezdomności i najbardziej potrzebujących. Po wybuchu pandemii w Nowym Jorku było ich 68 358. Zarejestrowanych. To najwięcej od końca lat siedemdziesiątych XX wieku. Trzysta pięć z nich miało znaleźć miejsce w budynku przy Sand Street i płacić za to nie więcej niż 30 procent swoich dochodów. Warunkiem przyjęcia było podjęcie jakiejkolwiek pracy. Pozostałe mieszkania miały zająć osoby, których nie stać na czynsz.

George ma czterdzieści dwa lata i był pierwszym, który zamieszkał we własnym M. Zaledwie pół roku wcześniej cały swój dobytek rozkładał na chodniku po przeciwnej stronie rzeki, nie mając pojęcia, co robić dalej.

Chorował na zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne i szybko tracił kolejne prace, ponieważ nie potrafił skupić się nawet na kwadrans. Dopóki żył ojciec, George mieszkał z nim i pozwalał mu się utrzymywać. Kiedy w 2009 roku ojciec zmarł, syn wyładował na ulicy. Stopniowo wyprzedawał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość: odtwarzacz DVD, magnetofon, słuchawki, telefon, zegarek, wreszcie sportowe buty.

Gdy zamieszkał na chodniku, nosił za małe o numer, stare skórzane trzewiki ojca. Z całego dawnego życia zatrzymał tylko dwie rzeczy: podarowaną przez ojca grecko-prawosławną ikonę świętego Jerzego, który zabił smoka, oraz kolekcję pluszowych misiów. Dziś stoją wszystkie pod ścianą w równym szeregu – przypominają mu zarówno dobre czasy, gdy miał dom, ojca i cień bezpieczeństwa, jak i te mroczniejsze, kiedy zasypiał pod gołym niebem.

– Jakbym narodził się na nowo – mówi George, gładząc metalową ramę łóżka przykrytą szarym prześcieradłem. – Nie tylko mam gdzie spać, ale też mogę pójść do lekarza. Nie czułem się tak bezpieczny od wielu lat.

Początek nie był jednak łatwy. Każdej nocy George leżał bezsennie, bojąc się, że ktoś zabierze mu resztę rzeczy albo zrobi krzywdę. Cekał na dźwięk klucza w zamku, na naciśnięcie klamki – przekonany, że za chwilę ktoś wejdzie i wyrzuci go z powrotem na ulicę. Dlatego przez długi czas wszystko, co miał, trzymał w czarnym worku na śmieci; gotowy do ucieczki.

Zajęło mu blisko trzy miesiące, by odzyskać spokój. Kiedy w końcu przespał całą noc i zobaczył nad sobą sufit – zrozumiał, że to miejsce stało się jego domem, o który musi teraz zadbać. Rozpakował się. Z pomocą pracowników administracji budynku udało mu się znaleźć pracę dziennego dozorca w biurze dwie

przecznice dalej. Odrobina niepokoju jednak została – lewa ręka wciąż bezwiednie drży, zwłaszcza gdy George musi wyjść na zewnątrz. Kiedy widzi czarne worki ze śmieciami ustawione rządkiem na zapleczu jednej z restauracji, zaczynają mu drżeć obie ręce.

W Nowym Jorku domem dla osób w kryzysie bezdomności bywa wgłębienie w murze albo zaułek ciasnej ulicy. Nierzadko śpią też na rozłożonym na części dużym kartonie, przykryci drugim. Wypchane worki często zastępują im poduszki. Nowy Jork jakby zobojętniał na ich widok, a przechodnie mijają ich bez słowa, jak gdyby byli niewidzialni.

– Kiedy jednak ten bezdomny otworzy oczy i spojrzy na ciebie, to będziesz ten wzrok pamiętać jeszcze długo – mówi Troy ze społeczności Narragansett, która straciła wiele ze swojej ziemi na półwyspie, gdy w XVII wieku przyłynęły tu statki króla Filipa.

Teraz z tej ziemi zostały jedynie cienki pasek wzdłuż wybrzeża, rezerwat społeczności, oraz dwa miasta Charlestown i Narragansett – w większości tereny podmokłe, na których trudno cokolwiek uprawiać.

Troy nie narzeka, pochodzi z rodziny rybaków od dziada pradziada, i długo pracował na własnym kutrze, dopóki ten nie zatonął podczas sztormu, a on sam omal się nie utopił. Uznał to za znak od przodków, że trzeba szukać nowej drogi.

– Tyle że nie powiedzieli mi, gdzie jej szukać. Długo się błąkałem, również mentalnie. Wpadłem w narkotyki, z których ledwo mnie odratowano. I to był znak numer dwa. – Troy pokazuje długą od nadgarstka po łokieć szramę. Mało się nie wykrwawił. Obudził się w Central Parku bez zamszowej kurtki po dziadku, telefonu i resztki pieniędzy. – Moja krew też

tu wsiąkła. Kiedy zobaczyłem ją na ziemi, ciemną, zastygłą i zimną, byłem przekonany, że już po mnie. Moje długie włosy były częściowo sklejone i miałem wrażenie, że straciłem połowę twarzy. Tak mocno mnie pobito, a ja tego nie pamiętałem, bo byłem naćpany. Dopiero po chwili zauważyłem, że biegnie do mnie człowiek w białym kombinezonie. Pomyślałem, że to duch dziadka, i zemdlałem.

Kiedy obudził się w szpitalu, na stoliku obok leżały broszury z informacjami, jak i gdzie szukać pracy. Poczul się, jakby narodził się ponownie. Zgłosił się do jednej z agencji pośrednictwa pracy i znalazł zatrudnienie jako pomocnik techniczny w ogromnym budynku przekształconym w mieszkania dla osób w kryzysie bezdomności.

Zdarza się, że sprząta pozostawione przez ludzi worki wypchane różnymi rzeczami.

– Ktoś najwidoczniej decyduje, że nie chce iść dalej przez życie z ciężarem przeszłości. – Troy również kiedyś zostawił swój worek, tuż obok supermarketu przy Columbus Circle na Manhattanie, niedaleko Central Parku.